

— A więc ta dziewczyna? — zapytała z niewiścią w głosie panna Sydonia.

— Także na równi z innemi.

Bankierówna roześmiała się wesoło.

— Oh! dziękuję, dziękuję, mój przyjacielu. Oto jak wygląda mój odwet, na który tak gorąco czekałam. Tak! tak! w więzieniu! To plama niczem niezatarta! Niechże ją teraz hrabia odważy się poświęcić w kaplicy więziennej. Jestem pomszczoną dostatecznie, bo to gorzej, niż śmierć sama! I jesteś pan pewny, że on to widział, że wie o tem?

— Z wszelką pewnością. Widział na własne oczy, a tym razem widok nie był podsunięty. Czy to wspaniałe?

— Może być wspaniałe — zauważył bankier — lecz, przyznam się wam, nie wiele warte. Więzienie, to grób tymczasowy, który się otworzy, a hańba rzecz do zmazania, do zatarcia się z biegiem czasu — szczególnie, kiedy nie jest prawdą! Wolałbym ją widzieć w rękach Magnusa, niż tam. Więzienie, wierzcie mi, to jeszcze nic wielkiego, to jeszcze nie ostateczność.

— A Collin-Megret, biedaczysko, jakże się zachował w tej sytuacji?

Delrue czuł się pewnym siebie, posiadając fatalną kartkę i pieniądze, nie zależało mu więc na bankierze. Przybrał pogardliwą postawę i odpowiedział niechętnie.

— Collin-Megret? Nie jestem jego stróżem, ale wyobrażam sobie, że wesoło być nie musi. Widziałem, jak aresztowali go i prowadzili do policyi.

— Co? co pan mówi?

— Mówię, mój drogi baronie, że agencja pana Collin-Megret jest zamknięta, a pryncypał zamknięty.

Bankier mruknął coś ze złością i zamyślił się głęboko.

— Hm! do dyabła — wyrzekł po chwili — to źle! to bardzo źle! Collin-Megret nie prędko stamtąd wyjdzie.

— Czyżby się pan obawiał, panie baronie? — zapytał złośliwie Delrue.

De Bressien obrzucił go złem spojrzeniem i rzucił krótko:

— Obawiam się tylko ludzi niedyskretnych, panie Delrue, niech pan o tem pamięta. A teraz przypominam, że kasę otwierają o godzinie dziesiątej. Do widzenia.

Andrzej Delrue powstał wściekły i odparł, stojąc we drzwiach:

— No tak, zwykle się w ten sposób postępuje, jak się już ludzi nie potrzebuje.

— Ojcie — wmieszała się nagle Sydonia — dlaczego jesteś taki bezwzględny dla pana Delrue? Wiesz, jak nam jest oddany.

— Tak, ale także oddany jest temu lichwiarzowi, który siedzi w więzieniu.

— Co to ma znaczyć? — zapytał, uśmiechając się ironicznie Delrue.

— Jeszcze nie wiem, ale się dowiem. Mam pewne znajomości w Pałacu Sprawiedliwości i wybadam, czy też pan przypadkiem nie przyłożył ręki do tego aresztowania, a wtedy poznasz, kto jest baron de Bressien!

— Nie lękam się pana pogróżek, zdaje mi się bowiem, że teraz stoimy wobec siebie w stosunku zupełnej niezależności!

— A! Tak ci się wydaje, mój chłopcze!

Delrue, pewny siebie, sądził, że dosyć drogo okupił tę pewność i prawo niezależności, aby nie miał prawa z nich skorzystać. Wyprostował więc głowę i wyzywająco patrząc w oczy bankiera, wyrzekł głośno:

— Tak mi się to wydaje, drogi baronie. Jesteśmy sobie równi, pamiętaj pan o tem.

Skłonił się przed Sydonią i bankierem, mówiąc jeszcze:

— Żegnam pana!

De Bressien rzucił się ku niemu wściekły z gniewu.

— Ojcie! spokoju! — zawołała wstrzymując go córka.

Delrue otwierał już drzwi i wychodził.

— Zegnasz mnie! — rzucił za nim zjadliwie baron. — Powiedz lepiej: do widzenia! Do poniedziałku! Do moich tygodniowych przyjęć!

— Oh! Co to, to nie! Jestem już na zawsze zwolniony z pana sympatycznych przyjęć! Żegnam kochanego pana!

Delrue odszedł, pogwizdując wesoło.

— Co za nieostrożność, mój ojcie! — zauważyła Sydonia po jego odejściu.

— Chcesz powiedzieć bezczelność! — odparł sypiąc baron. — A to żmija! Widziałas, jak się zachował, a ty zawsze stawiałaś w jego obronie!

— Tak, widziałam, słyszałam i rozważyłam. Ta scena jest wielkim błędem. Należało tego człowieka

oszczędzać aż do końca, przynajmniej do dnia mojego ślubu.

— Ciekawy jestem po co? Masz odbitkę sfałszowanego podpisu, a ja z chwilą, kiedy czek podpisze i podejmie go, znowu go trzymam w ręce.

— Ale on o tem nie wie i to wszystko, co zrobił dla nas, może jeszcze dobrowolnie zniszczyć. Gdyby tak uwiadomił hrabiego o tej kombinacji, którąśmy razem przeprowadzili? Powie słowo tylko, a zrehabilituje tę dziewczynę w oczach Henryka.

— Tak sądzisz?

— Tego się obawiam.

— Ale tem samem zdradziłby sam siebie.

— Potrafi się od tego uchronić przy swoim sprycie. A zresztą będzie umiał się wytłumaczyć, a pieniądze nasze ma w kieszeni. Nie mając nic do stracenia, może wygrać wszystko, bo nic nie ryzykuje.

— Do dyabła! Napędziłaś mi strachu. Powinno się być zawsze ostrożnym z ludźmi tego rodzaju! A w naszych trudnych sprawach łatwo o szantaż. Jakże teraz zrobić?

— Mam myśl, mój ojcie. On z pewnością pójdzie do kasy.

— Będzie się nawet spieszył.

— Postaraj się tam być, kiedy będzie czek realizował.

— Będę i co dalej?

— Dalej, szepniesz mu do ucha dwa słowa, tycające się sfałszowanego podpisu i czeku. Przekonasz się, że potem będzie się zachowywał spokojnie i przychodzić będzie skrupulatnie na twoje poniedziałkowe przyjęcia.

— Doskonale! Pochwyć go znowu w ręce i nie tak prędko wypuszczaj!

Punktualnie o godzinie dziesiątej baron de Bressien znajdował się w wielkiej hali kasowej. Przechadzał się wielkimi krokami, śledząc wypłatę. Uśmiech tryumfu rozjaśnił jego twarz, kiedy ujrzał wchodzącego Andrzeja Delrue. Tenże oddał czek swój do okienka i wzamian otrzymał blaszkę mosiężną, na której wyróżniona była litera B.

Po kilku minutach gorączkowego oczekiwania, Delrue usłyszał jak wywoływano jego imię.

— Pan Andrzej Delrue?

— Obecny.

— Wiele się panu należy?

— Pięćkroć sto tysięcy franków.

— Proszę, niech pan zliczy.

Urzędnik podsuwa mu paczkę banknotów, lecz Delrue jest tak wzruszony, iż liczyć nie może, drżącymi rękami zbiera swoje pieniądze i chowa do kieszeni surduta. Z we tchnieniem ulgi kierował się już ku drzwiom, kiedy nagle zatrzymał się niemiłe wstrząśnięty.

— Czy to dla markiza de Kermor? — zapytał go dobrze mu znany głos barona de Bressien.

— Ależ... naturalnie! — odparł niepewnie Delrue.

— 500.000 franków... dla okaziciela, pana Delrue! — pospieszył z tłumaczeniem kasyer.

— Proszę! — zauważył dobronudnie bankier — Więc to pan podpisał? No, naturalnie, musi pan mieć pełnomocnictwo markiza?

Bankier de Bressien mówił rozmyślnie podniesionym głosem, aby być usłyszonym przez swoich urzędników.

— Naturalnie! — odpowiedział prędko Delrue, nie zdając sobie sprawy z ważności tej odpowiedzi.

— No, to wszystko w porządku. Do widzenia, panie Delrue.

Baron wykreślił się na pięcie i skierował się ku wyjściu, śledząc bacznie swojego współnika. Kiedy Delrue miał już zniknąć za drzwiami, bankier zawołał za nim:

— Dwa słowa, panie Delrue!

— Dwa słowa przeproszenia, inaczej z panem nie mówię! — odparł zagadnięty.

— To zobaczymy. Otoż powiem panu, co następuje: odda pan w tej chwili do kasy pieniądze markiza de Kermor, inaczej uznam pana za złodzieja.

— Nie mam czasu na słuchanie pańskich żartów, a tembardziej obrażających słów pana, których nie uznaję.

— Ja wcale nie żartuję. Te pieniądze należą do markiza de Kermor, a pan jesteś fałszerzem i złodziejem.

— Gdzie dowód? — wybuchnął Delrue, trzęsąc się z powstrzymywanej złości.

Dowód jest taki, że czek ten był przeznaczony dla pana de Kermor, co zanotowane zostało w księgach rachunkowych dziś rano jeszcze, a oto drugi dowód, że jesteś pan fałszerzem podpisów. Patrz pan tylko!

Mówiąc to baron wyciągnął z kieszeni odbitkę

kwitu lombardowego, otrzymanego niegdyś od pana Collin-Megret.

Delrue na ten widok zachwiał się jak piorunem rażony. Nie spodziewał się nigdy, aby bankier mógł obecnie być tak silnie przeciwko niemu uzbrojonym. Ta jego tak pożądana nagroda za usunięcie tamtej dziewczyny przemieniła się teraz w złodziejstwo względem markiza, w nadużycie zaufania! Był to cios nieoczekiwany i straszny dla niego!

— Ależ to jest okropne! — szepnął z trudem, chwytając powietrze.

— Ma pan zupełną słuszność. Nie powinno się kraść, fałszować podpisów, podejmować pieniędzy cudzych!

— Więc oto moja nagroda, za to wszystko, co uczyniłem?

— No, no! Tak znowu źle nie jest. Pan posiadasz prawdziwy kwit, ja tylko jego odbitkę, a te pieniądze, które markiz może nigdy nie odnaleźć w zagmatwanych swoich rachunkach — to nie!

— Ale mnie pan zgubi, jeżeli je będę chciał dla siebie zatrzymać!

— Mój kochany Delrue. W interesach tego rodzaju muszę być zabezpieczony przed wszelkiem ryzykiem, niewdzięcznością i szantażem. Zabezpieczyłem się przeciw panu, tak, jakgdybym to uczynił przed pożarem. Widzisz więc, że lękam się ciebie, jak ognia.

— Zbytek łaski...

— Teraz muszę cię już pożegnać, mój przyjacielu. Sądzę, że nie zapomnisz, iż jak zazwyczaj oczekuję cię u siebie w biurze w poniedziałek rano.

Baron de Bressien, zadowolony z przebiegu rozmowy, powrócił do domu, gdzie na niego oczekiwała Sydonia.

— No i cóż, ojcie? — zapytała niespokojnie podchodząc do niego — Powiedziałeś mu te dwa słowa?

— Tak córeczko, — odpowiedział śmiejąc się bankier — powiedziałem ich nawet o wiele więcej...

— I cóż?

— To suma dla niego, — a pół miliona dla nas, jeżeli mnie dobrze zrozumiał. A sądzę, że dosyć sprytu na to posiada.

Nagły cios.

Andrzej Delrue posiadał więcej zdolności kombinacyjnych, niż twórczych i pomimo rozczerwienia swojego i wściekłości, podziwiał sposób postępowania barona.

Podziw ten szczery nasunął mu myśl naśladowania go. Był świadkiem, jak tenże po ostatniej z nim rozmowie zwrócił się natychmiast do wchodzącego głównego dyrektora banku i oznajmił mu tryumfalnie, że akcje „Kopalni złota“ podskoczyły nadzwyczajnie i że trzeba czempredziej wykupić ich jaknajwiększą ilość. Tylko Delrue nie wiedział, że bankier mówił o tem rozmyślnie głośno, aby i na tę wódkę złapać naiwnego współnika. W rzeczywistości akcje nie podniosły się, ale przeciwnie, dopół spadły.

Ale i o tem Delrue nie wiedział, i rozkaz wydany dyrektorowi banku ołsnął go. W jednej chwili pomyślał, że do pół miliona franków łatwo dorobić w ten sposób może drugie tyle. A te pieniądze będą bardzo uczciwie zarobione na giełdzie.

Ta ewentualność była tembardziej pożądana, że w razie wypadku, to jest zdrady bankiera, będzie mógł zwrócić markizowi jego pieniądze.

Ani na chwilę Delrue nie przypuszczał, że de Bressien chce go wciągnąć w nową zasadzkę. Kopalnia złota były największą troską barona i jego największą nadzieją, równą może z nadzieją małżeństwa córki jego z hrabią Henrykiem. Była to więc sprawa pewna i solidna. Delrue rozmyślał nad tem i zacierał ręce z radości.

— Poczekaj, baronku — mówił do siebie — potrafię ci może dorównać, a nawet prześcignąć. Kupuję akcyi za pół miliona franków i jednym zamachem pobiję nieprzyjaciela jego własną bronią.

Jednakże jakaś nieokreślona obawa wstrzymywała go.

— Do dyabła — pomyślał — czy mogę tak ryzykować cały mój kapitał?

Zatrzymał się przy drzwiach wielkiej agencji bankowej, nie wiedząc co robić.

Po chwili opamiętał się.

— Eh! Co znowu! — mruknął — Czy zawsze będę tylko głupim tchórzem. Kto nic nie ryzykuje, ten na nic liczyć nie może. Szczęście mi jakoś dotąd sprzyjało, dlaczegóż nie mam go dalej wyzyskać?

Otworzył drzwi, wszedł i rzekł do urzędnika:

— Proszę akcyi „Kopalni złota“ na pięć kroć sto tysięcy franków, na nazwisko pana Schmitta z Londynu.

(Ciąg dalszy nastąpi).